

Zaufanie, partnerstwo,  
szacunek i żelazna  
konsekwencja działania  
– kto by pomyślał,  
że doskonałymi  
nauczycielami  
takich wartości  
mogą być właśnie konie.  
Im większą przemoc  
i siłę stosujemy  
wobec tych zwierząt,  
tym bardziej  
stają się oporne,  
a w konsekwencji  
odpłacają tym samym,  
zupełnie jakby znały  
sens powiedzenia:  
„Jak Kuba Bogu,  
tak Bóg Kubie”.

I choć ogromna większość tych stworzeń w obawie przed uderzeniem bata godzi się w końcu służyć człowiekowi, to konie z charakterem niestrudzenie uświadamiają, że szkolenie opierające się na przesłaniu „musisz, bo zadam ci ból” jest w istocie drogą donikąd.

Nie ma chyba na świecie drugiej dyscypliny sportu, w której człowiek byłby w tak niedościgłej harmonii ze zwierzęciem jak w ujeżdżeniu. Elegancja, piękno, wdzięk to pojęcia nasuwające się, kiedy widzimy niemal tańczącego konia, a na nim jeźdźca, który nie wydaje się wykonywać żadnych ruchów, a jedynie siedzieć wygodnie w siodle w czarnym fraku z melonikiem, niczym w najwykwintniejszej restauracji. Przejazdy w najwyższych klasach, do których obowiązkowo dobierana jest dowolnego rodzaju muzyka współgrająca z rytmem ruchu zwierzęcia – to prawdziwa uczta dla oczu. Od wczesnego dzieciństwa fascynowało mnie to tak dalece, że starałam się nie przeoczyć żadnej transmisji zawodów w ujeżdżeniu, szczególnie o randze światowej, w których brały udział doskonale wyszkolone konie dosiadanane przez najlepszych mistrzów. Niektóre przejazdy zapierały dech w piersiach i zachwycały swoją naturalnością, podczas gdy inne, choć wykonane z techniczną doskonałością i niezwykłą precyzją, absolutnie nie pozostawiały takiego wrażenia. Dlaczego? To pytanie dręczyło mnie nieustannie, aż postanowiłam sama to sprawdzić, jak dorosnę.

Zanim dorosłam, dotarło do mnie jednak jedno z najbardziej bulwersujących przesłań, że w wielu stajniach „wychowuje się”, a później szkoli konie, zadając im we właściwych momentach mniejszy lub większy ból. Żadne zdrowe zwierzę nie wybierze bólu, zatem w stosunkowo krótkim czasie można w taki sposób nauczyć konia, co i jak ma robić, a czego mu nie wolno. Szybko osiągamy zamierzony cel. Czego chcieć więcej? Sprawa się jednak komplikuje, kiedy koń nie jest zwykłym koniem, a zawodowcem startującym w zawodach wysokiej rangi, w których o prawdziwym zwycięstwie decyduje coś więcej, niż tylko posłuszeństwo.

Każde podejście oparte na strachu i karze da w wyniku posłuszeństwo, ale nie zagwarantuje twórczej inicjatywy, naturalności w działaniu i przejęciu odpowiedzialności. Uzyskanie posłuszeństwa nie jest czymś przyjemnym i nie daje poczucia osiągnięcia

celu. I choć środowisko koniarzy jest zazwyczaj podzielone na surowych, bijących tatusiów i dobre, kochające mamusie, które notabene często są nadopiekuńcze, to przez długi czas czułam się dosyć osamotniona w moich rozmyślaniach. Jednak na moje szczęście i milionów ludzi na całym świecie w żaden sposób niezwiązanych z jeździectwem pojawił się na horyzoncie niejaki Monty Roberts – trener z Kalifornii, znany dziś jako założyciel niekonwencjonalnej szkoły ujeżdżania koni opartej na zabawie, zaangażowaniu, zaufaniu, szacunku i przejęciu przez konia odpowiedzialności za to, co robi. Obserwując przez wiele lat zachowanie dzikich mustangów, odkrył język, jakim porozumiewają się konie. Stosował go później przy pokazach, z którymi jeździł po całym świecie, by udowodnić, że nie trzeba stosować siły i łamać ducha, aby zwierzę, które nigdy w życiu nie miało na sobie siodła ani jeźdźca, dobrowolnie zaakceptowało to w ciągu zaledwie pół godziny. Nie muszę wspominać, że wśród koniarzy z różnych stron naszego globu Monty Roberts zyskał ogromny rozgłos, ale że wśród ludzi, którzy raczej omijają stajnię szerokim łukiem i z końmi nie mają nic a nic wspólnego...

Jego metody pracy z końmi zyskały równie dużą popularność wśród właścicieli, prezesów i dyrektorów dużych firm i stały się metaforą właściwego postępowania z pracownikami. Nagrania Monty Robertsa, jak pracuje z końmi, zaczęto masowo wykorzystywać. Pokazywano je jako przykład właściwego postępowania, szczególnie w tych przedsiębiorstwach, w których istniała ogromna przepaść pomiędzy kierownictwem firmy a pracownikami, skutkująca różnego rodzaju problemami, aż do stanów kryzysowych włącznie. Monty został zachęcony przez miliony ludzi różnych narodowości z Królową Elżbietą II na czele do spisania swoich doświadczeń, i tak powstało kilka książek, które szybko stały się światowymi bestsellerami. Jedna z nich, której nadał tytuł „Czego uczą nas konie”, jest swoistą transpozycją jego niekonwencjonalnych metod treningu koni na świat ludzi, zarówno w relacjach zawodowych, jak i prywatnych. Fascynująca opowieść niosąca jedno podstawowe przesłanie, że siła, zastraszenie i przemoc nigdy nie są właściwym rozwiązaniem. Można zmusić ludzi i konie do współdziałania, ale nie można ich zmusić do pełnego oddania się pracy. Takie zaangażowanie można osiągnąć jedynie dzięki rozbudzeniu wewnętrznej motywacji. I to jest właściwa droga do osiągnięcia ponadprzeciętnych wyników. ■

Autor

Sylvia Nawojka Bryniarska